

Było warto!

26 maja 2015

Za sukcesem Prezydenta Andrzeja Dudy stoją tak naprawdę dwie kampanie. Sam Duda głosił starszym i mądrzejszym, że wszystkich kocha, da dużo kasy i ma tłitera. My jednak w tej chwili nie możemy zapomnieć o człowieku, który z narażeniem życia pokazał światu straszną prawdę o jego poprzedniku. „Teraz nie możesz już się wycofać, za dużo wiesz i jesteś dla nich zagrożeniem. Zabiliby cię, ale jest od tobie zbyt głośno i taka śmierć skupiłaby uwagę na sprawie” – wspomina słowa oficera CBŚ Wojciech Sumliński.

Pisząc książkę „Niebezpieczne związki Bronisława Komorowskiego” przez cały czas pamiętałem o zasadzie wyłuszczonej mi przed laty przez oficera Centralnego Biura Śledczego: „Teraz nie możesz już się wycofać, za dużo wiesz i jesteś dla nich zagrożeniem. Zabiliby cię, ale jest od tobie zbyt głośno i taka śmierć skupiłaby uwagę na sprawie. Dlatego będą podważać twoją wiarygodność. Robili to już wcześniej wiele razy, ale teraz nie możesz już się zatrzymać. Ludzie chcą znać prawdę, a prawda jest po twojej stronie”. Im było bliżej wydania mojej książki, tym intensywniej byłem atakowany podłej maści pomówieniami, insynuacjami i zapytaniem, które w rzeczywistości nie tyle były pytaniami, co oskarżeniami.

Jedna z dwóch ostatnich fal kulminacyjnych nagonki nastąpiła w grudniu 2014 roku, w okresie poprzedzającym i następującym po przesłuchaniu prezydenta Bronisława Komorowskiego w pałacu prezydenckim, gdy po raz kolejny zobaczyłem, jak potężny parasol ochronny – medialny i nie tylko -roztoczono wokół Bronisława Komorowskiego i gdy po raz kolejny zrozumiałem, że znajduję się w sytuacji Dawida, który stoi naprzeciw Goliata i właśnie uświadamia sobie, że zapomniał wziąć ze sobą procy. I właśnie wówczas podupałem na duchu zadając sobie pytanie: „czy było warto?”, która to rozterka znalazła odzwierciedlenie w mojej książce.

„Nie należę do strachliwych, lecz wiem, kiedy trzeba się bać – najlepsza po temu okazja jest wówczas, gdy człowiek uświadamia sobie własną bezsilność. A najlepszy dowód na moją bezsilność otrzymałem kilka dni temu – i właśnie przed chwilą. Najpierw prokuratura. Ta zrobiła wszystko, by prezydent nie zeznawał w tej sprawie w sądzie. Gdy zabiegi prokuratury zakończyły się fiaskiem i gdy okazało się, że Bronisław Komorowski, którego potajemne spotkania z dwoma oficerami służb tajnych były pierwszą przyczyną całej tej historii, w związku z moim wnioskiem będzie jednak zmuszony do złożenia zeznań w sądzie, na kilka tygodni przed terminem przesłuchania prokuratura złożyła wniosek o wyłączenie jawności rozprawy. Działania prokuratury, podobnie jak ograniczenie przez Kancelarię Prezydenta do minimum dostępności dla mediów i publiczności uczestnictwa w tej nie mającej precedensu rozprawie, od początku postrzegałem jako chęć ukrycia przed opinią publiczną prawdy o niepochlebnej roli Prezydenta RP w tej sprawie – i w ogóle o całej tej historii.

Gdy także i ten wniosek prokuratury zakończył się niepowodzeniem, w trybie pilnym zostałem wezwany na dzień 12 grudnia do Prokuratury Apelacyjnej w Warszawie, pod rygorem przymusowego doprowadzenia, do kancelarii tajnej. Tu przedstawiono mi kilkustronicowe pismo z zapisem szeregu spraw i wątków, o których mówienie publiczne – jak mnie poinformowano – będzie złamaniem tajemnicy państwowej, za co grozi kara do 5 lat pozbawienia wolności. I zapewne tylko przez „przypadek” większościowy zakres rzeczonych spraw i wątków dotyczył Bronisława Komorowskiego. No, a teraz jeszcze media... Do tego momentu chyba się jeszcze łudziłem, ale teraz nareszcie zrozumiałem. Nie jestem Einsteinem, ale jak mi dać parę razy po głowie, potrafię dostrzec to, co widać gołym okiem. Ktoś chciał, by bezprecedensowe wydarzenie, jakim w każdym demokratycznym kraju byłoby przesłuchanie prezydenta w sprawie jego nieformalnych związków z oficerami służb tajnych, z potencjalnym udziałem szpiegów obcego państwa, zostało zakryte przed widokiem opinii publicznej – więc zostało

zakryte. W efekcie o tym, że takie wydarzenie w ogóle miało miejsce, dowiedziało się kilka procent Polaków. Dla zdecydowanej większości 18 grudnia 2014 roku w Pałacu Prezydenckim nie wydarzyło się kompletnie nic godnego uwagi.

Przypomniałem sobie spotkanie sprzed kilku dni z Przemkiem Wojciechowskim, kolegą, byłym dziennikarzem śledczym, który dobrze „odnalazł się” w realiach i podjął pracę w Telewizji Polskiej – już nie jako śledczy. Zналиśmy się od kilkunastu lat. Kiedyś, choć Przemek mieszkał w Krakowie, a ja w Warszawie, widywaliśmy się systematycznie, ale po roku 2008, gdy w efekcie traumatycznych przeżyć, aresztowania i próby samobójczej na stałe wyjechałem do Białej Podlaskiej, nasze kontakty stały się sporadyczne. – Popatrz na tę panią – Przemek wskazał na kobietę w średnim wieku spacerującą z psem. – Czy myślisz, że obchodzą ją związki Komorowskiego z WSI, mafią czy kim tam jeszcze chcesz? – Mam nadzieję, że obchodzą – odparłem bez przekonania. – Nawet jej pies nie kupiłby tej bzdury. Albo spójrz na tego pana – tu wskazał starszego mężczyznę zmierzającego spiesznie do tramwaju. – Czy myślisz, że jego to obchodzi? Albo weź tych dwoje młodych, albo tamtych – popatrzyłem za jego wzrokiem na dwie pary nastolatków. – Czy naprawdę sądzisz, że to, co robisz, ma dla nich jakiegokolwiek znaczenie?

Milczałem, bo i cóż tu było do dodania? – Książki? Jutro to tylko numery na anonimowej liście, która prędzej czy później i tak pewnie gdzieś się zawieruszy, a życie jest jedno. Zastanów się, zanim rozjadą cię na pasach albo zrobią coś gorszego. Pomyśl, zanim będzie za późno! Miałem szczerzy zamiar pogłównkować o tym, co, jak i dlaczego wydarzyło się dziś w pałacu prezydenckim, bo dawno już powinienem wykazać choćby szczątkowe przejawy inteligencji, ale nie wziąłem pod uwagę nieprzespanych nocy, zmęczenia i stresu, jaki od dawna był mi nieodłącznym towarzyszem – i dałem spokój. Poszedłem za to tokiem sugestii kolegi i pomyślałem o tych wszystkich dobrze mi radzących, życzliwych mi przecież i przyjaznych ludziach.

Zastanawiałem się, czy skoro tyle osób mówi mi w gruncie rzeczy to samo przekonując, że moja praca – praca dziennikarza śledczego – w tym kraju nie ma najmniejszego sensu i żadnego znaczenia, to może rzeczywiście tak jest? A jeśli tak jest, to po co było to wszystko?

Zawsze wierzyłem, że warto robić to, w co się wierzy, pokazywać rzeczy, jakimi są naprawdę, zostawić po sobie jakiś ślad. Tak naprawdę wszystko zaczęło się przed laty, od tajemniczej Fundacji „Pro Civili”. Czy mogłem przewidzieć, dokąd zaprowadzi mnie ta droga? Postanowiłem zaczerpnąć świeżego powietrza i pójść w jedno z moich ulubionych miejsc – na komunalne Powązki. Cmentarz, to dobre miejsce do takich rozważań, jakim się właśnie poddałem – zwłaszcza taki cmentarz, jak powązkowski, gdzie obok siebie tysiącami spoczywają bohaterowie i zdrajcy, ludzie wielcy i zupełnie przeciętni, sławni i nieznani prawie nikomu, bogaci i niemający niczego: dziś wszyscy milczący i równi sobie. Myślałem o tym, że kiedy umrze człowiek, który posiadał bogactwo, wpływy, wiedzę i wszystkie atrybuty pobudzające zazdrość, wówczas po oszacowaniu jego osiągnięć i dzieł pozostaje pytanie: czy jego życie było dobre czy złe? Ludzka zawiść już zniknęła, podobnie jak wszystko inne, a majątek przeszedł w ręce innych ludzi i jedyną miarą jest: czy był kochany, czy znienawidzony?

Czy jego śmierć odczuto jako stratę, czy też stała się powodem radości? Wśród całej niepewności jutra i wszystkiego wokół byłem pewien, że pod wierzchnią warstwą swoich przywar ludzie pragną być dobrzy i pragną być kochani, a większość ich wad, to po prostu próby odnalezienia skróconej drogi do miłości. Kiedy człowiek umiera niekochany, wówczas bez względu na swój majątek, władzę, wpływy czy talenty musi uznać własne życie za porażkę, a konanie za zimną potworność. Gdy zatem możemy wybierać pomiędzy dwoma sposobami myślenia, czy nie powinniśmy zawsze pamiętać o śmierci i starać się żyć tak, by nasza śmierć nie przyniosła światu radości? Wiedziałem, że pytanie,

jakie sobie zadaje, jest retoryczne. Pochylając się nad grobami tych, których już z nami nie ma, myślałem o tym, jak nieszczęśliwi muszą być ludzie, którzy nie mają oparcia w Bogu, ponieważ nie zawierzyli, że w ogóle istnieje. Myślałem o tym, jakim jestem szczęściarzem, że mogę przyjąć świat na wiarę, i o tym, że są sprawy, do których doświadczenia zmusza nas po prostu Los. Oczywiście człowiek ma wolną wolę, ale zarazem pewne sytuacje mamy narzucone, które niejako nadają kierunek: gdzie przyszliśmy na świat, w jakich żyjemy czasach, w jakich okolicznościach, ile mamy tu czasu, który przecież jest darem... Weźmy sytuację na froncie. Niezależnie od tego, ile cię szkolili i jak bardzo uważasz, o tym, czy zginiesz, decyduje ślepy traf. Nieważne, kim jesteś ani to, czy jesteś bohaterem, czy tchórzem. Nieodpowiednie miejsce, nieodpowiednia pora i koniec. Sytuacja, jakich na wojnie wiele: żołnierze wyskakują z okopu do ataku. Kiedy kula trafia jednego z nich, biegnący tuż za nim znajduje ocalenie, bo tamten ginąc ocalił mu życie.

Tak jest ze wszystkim. Kiedy piorun zabijając kogoś uderza w miejsce, w którym przed chwilą stał ktoś inny, kiedy rozbija się samolot, w którym miałeś lecieć, ale były korki i spóźniłeś się na lotnisko, kiedy kolega zapada na śmiertelną chorobę, a nie ja. Niektórzy sądzą, że takie rzeczy są dziełem przypadku: ktoś miał szczęście, ktoś inny nie. Tymczasem w tym wszystkim zachowana jest równowaga. Ktoś się starzeje, ktoś inny rośnie. Śmierć zabierając kogoś nie zabiera jednocześnie kogoś innego i w tej niewielkiej przestrzeni między byciem zabranym a byciem oszczędzonym życia się wymieniają... Mijając równe rzędy krzyży, ustawione tu tysiącami, umieszczone na grobach nastoletnich chłopców poległych w 1920 i 1944, w kwaterach żołnierzy Bitwy Warszawskiej, Września i Powstania Warszawskiego, zastanawiałem się, co Oni powiedzieliby o tym – co ma znaczenie? Czy ich śmierć miała jakiegokolwiek znaczenie w świecie, w którym liczy się tylko to, co praktyczne? Przypominałem sobie, jak kiedyś umierałem. A może tylko tak mi się wydawało, może tylko byłem gotowy na śmierć? Myślałem o

tym, że to tylko chwila, że umrzeć dziś warte jest tyle samo, co umrzeć każdego innego dnia.

Było to wówczas, gdy doprowadzony do załamania przez mój własny kraj marzyłem już tylko o tym, by nic nie czuć i przestać cierpieć. Samobójcza próba – największy błąd mojego życia, bo przecież Bóg zna każdego z nas i żąda od nas tylko tego, czemu jesteśmy w stanie podołać, zezwala na tyle cierpienia, ile jesteśmy w stanie znieść. I zabiera nas do siebie w najlepszym dla nas momencie – On o tym decyduje, nie my! Ale coś z tamtych tragicznych dla mnie chwil jednak zapamiętałem. W ułamku sekundy przed zamkniętymi oczami przemknęły mi sceny z całego życia. Znowu byłem na moim żoliborskim podwórku i bawiłem się w chowanego z kolegami, grałem z nimi w kapsle, podchody i w piłkę, znowu siedziałem w szkolnej ławce na mojej ulubionej lekcji języka polskiego i przeżywałem zachwyt czytając „Quo vadis?”, po raz pierwszy spędzałem wakacje z rodzicami w ukochanym przez nas Darłówie nad Bałtykiem, oczami kilkunastoletniego dziecka zobaczyłem mamę i innych bliskich, poczułem zapach lasu na pierwszym harcerskim rajdzie po Puszczy Kampinoskiej, widziałem siebie wędrującego po Tatrach i podczas pamiętnej Wigilii Świąt Bożego Narodzenia 1980 roku, która była dla nas radosna i smutna zarazem, jeszcze raz byłem świadkiem na mojej własnej Pierwszej Komunii Świętej i na moim weselu, jeszcze raz poznawałem moją żonę i widziałem, jak rodzą się i dorastają wszystkie nasze dzieci, widziałem obrazy z ich życia i ze swojego życia, widziałem ludzi, których skrzywdziłem i którzy mnie skrzywdzili, widziałem swoje sukcesy i swoje porażki, swoją studniówkę w XVI LO im. Stefanii Sempołowskiej i pierwszą sesję na studiach psychologicznych, jeszcze raz zachwyciłem się pierwszym zapamiętanym widokiem śniegu, morza, tatrzańskich szczytów, Asyżu, jeszcze raz spotkałem wszystkich moich bliskich, którzy przeszli już na Drugą Stronę.

Pamiętam swoje przerażenie uświadomieniem sobie faktu, że to koniec wszystkiego, że nie zrobię już niczego dobrego i...

wróciłem do teraźniejszości. Teraz już pamiętałem to, co wtedy czułem, całym sobą: że wszystko jest zapisane i każdy najdrobniejszy element mojego życia, każdy człowiek, a nawet wypowiedziane słowo, miało jakieś znaczenie, dla mnie lub dla innych ludzi. I nic nie jest zapomniane... Powoli dotarłem do rodzinnego grobu, gdzie opodal kwatery smoleńskiej spoczywają wszyscy moi bliscy. Jako ostatnią, dwa lata wcześniej pożegnałem w tym miejscu moją siostrę. Wspomniałem nasze ostatnie spotkanie. Był środek nocy, gdy z księdzem Stanisławem Małkowskim dotarliśmy do Szpitala Bielańskiego w Warszawie. Zdążyliśmy na czas. Siostra wyglądała, jakby spała. Mój przyjaciel udzielił jej ostatniego namaszczenia, po czym razem uklękliśmy do modlitwy u wezgłowia łóżka. Gdy wstaliśmy, w oczach miałem łzy. Ksiądz uścisnął mnie mocno za rękę i spojrzał głęboko w oczy. Przypomniałem sobie, co wtedy powiedział: – Nie ma przypadków. Pamiętaj Wojtku! Nic nie ginie... Gdy kilka godzin po powrocie z Powązek wracałem do domu na Podlasiu, a monotony warkot silnika i miękki blask wskaźników na desce rozdzielczej mojego fiata przywołał wspomnienia, raz jeszcze pomyślałem o słowach księdza „Pamiętaj – nic nie ginie.” I na przekór wszystkiemu uśmiechnąłem się do swoich myśli.”

Autorstwo: Wojciech Sumliński

Źródło: Ruch-Obywatelski.com